

jesteś do zmartwychwstałej, lecz ja nie lękam się upiórow.

Potem zdjąłem z niej wierzchnie okrycie i posadziłem ją dość niezgrabnie w fotelu.

— A cóż, staruszk, nie poczęstujesz mnie kieliszkiem sherry dla zawiązania rozmowy?... Język mnie świerzbil... Muszę cię zaprowadzić którego wieczoru do Dolmenico albo do Holland-House... Mają tam whisky, jakiej nigdzie nie znajdziesz!

Zadzwoniłem i kazałem podać likiery... Potem zapytałem bez żadnych wstępów:

— A więc, Lucy, tyś nie umarła?

Wybuchnęła śmiechem, okazując dwa rzędy białych zębów, obramowanych różowymi wargami.

— Masz jakieś pogrzebowe dowcipy, master Jonatanie! Porozmawiajmy rozsądnie!... Czas to pieknadź, jak powtarzają ciągle we wszystkich waszych knajpach, a my nie mamy sposobności patrzeć na siebie co dzień... Zapewne zrobiłam głupstwo, przychodząc tutaj, ponieważ Joe zabronił mi tego... Nie mogłam jednak wytrzymać i gdy tylko wyjechał, zaraz skorzystałam z okazji!...

— Bardzo pięknie ze strony dawnej narzeczonej.

Bardzo to ją rozśmieszyło... Przypomnienie naszych zapowiedzi, ogłoszonych w merostwie w Neuilly wywołało w niej lzy radości... Wypiła dwa kieliszki sherry jeden po drugim i zaczęła:

— Przystępujemy do rzeczy. Cóż to za jeden ten Teddy Brentano, którego spotkałam tu i który spadł z nieba, jak aeroplan?

— Jest to mój syn... mój syn adoptowany.

— Doskonale. Ten wariat jest zapewne twoim spadkobiercą?

— Musiał ci zapewne o tem mówić, a Joe to potwierdził.

— To dziwne! — rzekła w zamysleniu. — Znałam go już z dzielnicy, jak znałam i Williama, syna Joego... Strasznie był zadurzony w mej miłej osobce... jak zresztą i wielu innych!... Nie przykładalam do niego żadnego znaczenia... Dosyć powiedzieć, że nie znałam jego imienia!... I naraz okazuje się, że to twój następca... i ten miły chłopiec, bo on naprawdę jest miły, który nie miał ani jednego *sous* w Paryżu, teraz zasypuje mnie biżuterią i prowadzimy wesołe życie i Joe wcale nie przeszkadza!...

I Lucy ze zmarszczką zadumy na czole wypila spokojnie trzeci kieliszek sherry.

Po krótkim milczeniu odezwała się znowu:

— Powiedz mi tylko, dlaczegoś mu tyle nablagował?

— Nablagował?

— Tak, jakieś bajki bez cienia prawdy! Dlaczegoś mówił mu, że oblałam cię witryolem i umarłam?

— Aby uwolnić go od tej nieszczęsnej namiętności, jaką żywił dla ciebie! — odpowiedziałem poważnie.

Lucy wzruszyła ramionami.

— Zdaje mi się, że ci się to nie udało...

I westchnęła z rozmarzonymi oczami:

— Bo Teddy jest zupełnie innym, nie takim jak William Duncan i z nim nie łatwo dojść do końca!

— Dlatego też zrezygnowałem!

Bardzo ją to ucieszyło.

— Na prawdę, Jonatanie? Nie będziesz nam przeszkadzał kochać się... ciągle... ciągle?... Prawda, nie będziesz taki okrutny dla Teddy, jak Joe był dla Williama?... Ach! jesteś bardzo szlachetny, prawdziwy jankes, jakich ja kocham!... A przytem ten Teddy jest taki miły, taki delikatny...

— Taki osioł! — dodałem spokojnie. — Mów po francusku, otwarcie, Lucy!

Wydała się obrażoną. Na pociechę wypila czwarty kieliszek sherry.

— Ach, dosyć już tego! — zawołałem.

I odsunąłem na bok butelkę, którą wkrótce wysuszyłaby całą... Czy to pod wpływem alkoholu, czy też ze zwykłego sobie naiwnego cynizmu, spytała mnie niespodzianie.

— I naprawdę, Jonatanie, ty masz tyle dolarów?... powiedz mi dokładnie...

— Sto pięćdziesiąt milionów.

— To znaczy?

— Siedmset pięćdziesiąt milionów franków...

Zrenice jej rozszerzyły się, cienkie jej nozdrza zadrzały, jakgdyby wahała jakieś rajskie zapachy i z pięknych jej ust padły słowa, przedstawiające najjaśniejszą istotę jej duszy, zamkniętej w pięknym ciebie:

— Ach! jakby to można za to używać!

Poddałem się wstępowi, jakim mnie przejęła i tym razem sam jej nalałem piąty już kieliszek sherry... Gdy odprowadzałem ją do windy, zdawało mi się, iż chwiała się na nogach... Jednocześnie usłyszałem, jak z swego mieszkania wychodzi Polidor, by czempredzej spotkać się znowu ze swą kochanką. Po powrocie do siebie rozplakałem się nad losem swego syna, nad losem człowieka, któremu dziecizna bez duszy zdołała zabrać całą duszę.

W położeniu swem zauważyłem ten niezwykle objaw, iż nie robiłem różnicy między przykrościami a wygodami swego stanu, lecz przyjmowałem je jednakowo. Nie mogąc nigdy przyzwyczaić się do pracy metodycznej, pozostając przez całe życie obcym temu, co nazywa się interesami, stawałem się przy



Stałem jak wryty o sześć kroków od baryery.

Joe pilnym pracownikiem, obdarzonym niezwykle zdolnościami i wielką gorliwością pracy. W przeciągu miesiąca poznałem najdokładniej skomplikowany układ jego kolosalnego przedsięwzięcia, tak iż żaden z najpilniejszych jego urzędników nie mógł mnie pod tym względem przewyższyć. Mogłem obecnie z największą swobodą odgrywać rolę Jonatana i król papierowy był też tem tak zachwycony, iż przy każdej sposobności nazywał mnie najcenniejszą swą perłą. Nie pozostało mi nic innego, jak żyć i korzystać z życia... Nie chciałem nawet wiedzieć, co się stanie z miłością Polidora i Lucy Weill...

Po powrocie z Filadelfii ten dziwny a zarazem i straszny milioner, w ręku którego byliśmy tylko pajacami kartonowymi, zdecydował się wreszcie wtajemniczyć mnie w swe zamiary na przyszłość; mogę powiedzieć, iż plany jego podziślały na mnie tak i wywarły takie wrażenie, jakiego doznałem tylko wtedy, gdy mnie uwoził w swym samochodzie z gabinetu Marcadiana przy ulicy Michała Anioła.

W chwili gdy Joe Duncan, król papierowy, zwierzał mi plan, jaki powziął na przyszłość i którego wykonanie składał na mnie, zrozumiałem, że straszna awantura mego życia nie dobiegła jeszcze końca, jak to sobie wyobrażałem, lecz że naodwrot,

rozwija się ona logicznie i wchodzi w taki niebezpieczny okres, którego nieszczęsnych następstw ani ja, ani on, ani nikt na świecie nie był zdolny przewidzieć... W tej strasliwej chwili powstał tylko we mnie jakiś bunt przeciw memu losowi, rodził się niejasne uczucie żalu przeciw wszystkim.

Nie upłynęły jeszcze trzy dni od powrotu Joego Duncana z Filadelfii, gdy zjawił się u mnie z wizytą w Waldorfie... Zwierzenia swe mógł doskonale uczynić u siebie przy 34 avenue, przybywając jednak osobiście, chciał okazać swe względy dla osoby obecnie tak ważnej, jak ja...

— Jonatanie — oznajmił mi z miejsca — ot zbliża się dzień nowego roku i nadchodzi dla ciebie chwila odpowiednia do rozpoczęcia nowego życia jakiego wymagają twe zdolności i twe wysokie stanowisko... Ty nie znasz, ma się rozumieć, Filadelfii gdzie posiadamy trzy największe fabryki... Przyznam, że pobyt tam nie jest bardzo wesoły... Nazwij ją miastem żelaznym z powodu fabryk Baldwinów, które wyrabiają dwa tysiące rocznie lokomotyw... Tak, wiem, że to ciebie nieinteresuje!...

Mnie zaś interesuje to, iż dla naszych fabryk, dla ich sprawności, jest nie zbędną twoja tam obecność i czujność!... To jest wszystko!... Zrobisz mi więc przyjemność i dla wspólnej naszej korzyści opuścisz Nowy Jork by udać się do Filadelfii dla prowadzenia trzech naszych najgłówniejszych fabryk... Nie będziesz tam miał więcej pod sobą, jak sześć tysięcy robotników... Dom twój tam jest bardzo wygodny i elegancki, zupełnie godny ciebie... Kazałem już wszystko przygotować na twój przyjazd... Będziesz mi dziękował, o ile tylko znajdziesz na to czas!

— Dobrze — zgodziłem się odrazu, gdyż najgorzej było sprzeciwiać się Joemu — pojedę i zabiorę z sobą Teddy, swego adoptowanego syna.

— Nie, nie zabierzesz go z sobą — Dlaczego?

— Ponieważ Teddy jest dobry do zabawy, a w Filadelfii nie bawie się wcale! Aby ci nie robił wielkiego wstydu, wyznaczysz mu odpowiednią pensję w sumie pięćdziesięciu tysięcy dolarów!... Pozwól mu chodzić po kabaretach i innych wesołych miejscach... pozwól mu żyć jak idyocie jakim jest i jakim prawdopodobnie zostanie!... Resztę ja biorę na siebie!

— Resztę?

— Mój przyjacielu, nie udawaj osła, który się dziwi swemu głosowi. Wiesz, że Lucy Weill żyje i mieszka u mnie, zawsze gotowa do mej dyspozycji!... Opowiedziała mi o swej wizycie... Nadszedł teraz czas, bym cię poinformował o swych zamiarach i wyznał powody, dla których zachowywałem tę dziewczynę... Ma ona mi posłużyć do wykonania zemsty!

— Jakiej zemsty? — zawołałem.

— Fytasz się, jakiej zemsty? Ach, ty mizerny egoisto, czyś ty zapomniawszy już, kto ja jestem?... Chyba nie wyobrażasz sobie, byś ty mnie interesował, lub twa córka Ewelina?... Czy ty nie pamiętasz już, że jedynym celem mego życia jest pomstwienie na Williamie zniewagi, jaką mi wyrządziła jego cudzołożna matka, Nelly Burlington!...

— Nie widzę...

— Ma się rozumieć, że taki ślepy jak ty, nie może widzieć! Dajesz się, głupcze, zwodzić pozorom... Czyż ty naprawdę wyobrażasz sobie, że William kocha się w twej córce?... Czyż ty nie masz oczu... Czy i ty jesteś taki naiwny jak Marcadian!... Wy nie zdajecie sobie sprawy, co to za kobieta jest ta Lucy Weill! Wyobrażacie sobie w swej naiwności, że można się pozbyć tej tuniki Nessusa w dwadzieścia cztery godzin, jak znoszonego ubrania, o którym się zapomina!... Sądziłiscie, że nastąpiła w nim dzięki niebiosom gwałtowna zmiana?...

(Ciąg dalszy nastąpi).